

Prawdy nie można zadekretować

W wielu krajach Polacy są uważani za naród rasistowski, ksenofobiczny, który był współsprawcą Holokaustu. Duża w tym zresztą zasługa sowieckich i rosyjskich służb specjalnych. Niezależnie jednak od tego, jak wielką szkodę nam to wyrządza, nie możemy radzić sobie z tym za pomocą środków sądowych ani formalnych zakazów - mówi rzecznik praw obywatelskich w rozmowie z Piotrem Zychowiczem

Rz: Co pan sądzi o inicjatywie wprowadzenia zakazu negowania Holokaustu? Norma ta, jak zakładają autorzy pomysłu, miałaby obowiązywać w całej Unii Europejskiej.

Janusz Kochanowski: Jestem przeciwnikiem tego forsowanego przez Berlin pomysłu. Takie przepisy można uzasadnić w przypadku Niemców, narodu, który był sprawcą zbrodni Holokaustu. Być może ich szczególna sytuacja, nękające Niemców wyrzuty sumienia uprawniają istnienie zakazu w ich kraju. Natomiast mam poważne wątpliwości co do rozszerzania go na pozostałe kraje Unii.

Może to jedyny sposób na ukrócenie działań negacjonistów?

Jakiś czas temu odbył się proces brytyjskiego historyka Davida Irvinga, który twierdził, że nie było komór gazowych. Wsadzenie go do więzienia dodało mu tylko animuszu, nimbu heroizmu i rzekomego męczeństwa. To dowód, że wprowadzanie takich przepisów nie ma większego sensu. Tylko nagłaśnia się poglądy takich ludzi, a im właśnie o to chodzi.

W Polsce również występują tendencje do wydawania takich zakazów.

Zapis o tzw. kłamstwie oświęcimskim otworzył furtkę do wprowadzania podobnych przepisów. W nowej ustawie lustracyjnej znalazł się artykuł 132a. Według niego ten "kto publicznie pomawia naród polski o udział, organizowanie lub odpowiedzialność za zbrodnie komunistyczne lub nazistowskie, podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech". To zły pomysł i dlatego zaskarżyłem go do Trybunału Konstytucyjnego.

Ale dzięki niemu mogliśmy wreszcie skutecznie walczyć z używaniem określenia "polskie obozy zagłady".

Rzeczywiście przyprawiono nam na świecie gębę. W wielu krajach Polacy są uważani za naród rasistowski, ksenofobiczny, antysemicki, który był współsprawcą Holokaustu. Duża w tym zresztą zasługa sowieckich i rosyjskich służb specjalnych, które doskonale kreują takie czarne legendy (tak było na przykład w przypadku papieża Piusa XII). Niezależnie jednak od tego, jak bardzo nas to boli i jak wielką szkodę nam wyrządza, nie możemy radzić sobie z tym za pomocą środków sądowych ani formalnych zakazów.

Dlaczego?

Dlatego, że prawda sądowa jest odległa od historycznej. W sądzie obowiązują inne instrumenty niż w dyskursie naukowców. Podam przykład. W postępowaniach lustracyjnych wiele osób zostało uznanych przez sądy za pokrzywdzonych, mimo że zgodnie z naszą

wiedzą historyczną współpracowali ze Służbą Bezpieczeństwa. To samo może się stać, gdy sądowno zaczniemy udowadniać, że naród polski nie dopuścił się "zbrodni nazistowskich".

Czyli efekt może być odwrotny od naszych oczekiwań?

Podam konkretny przykład, który sprawił, że do przepisów zakazujących tzw. kłamstwa oświęcimskiego odnoszę się sceptycznie. Za moich czasów uczono, że w Auschwitz zginęło 4 miliony obywateli polskich. Tego, że większość z nich była Żydami wówczas nie eksponowano. Nie mam nic przeciwko takiemu ujmowaniu sprawy. Uważam, że ofiary były przede wszystkim ludźmi, po drugie obywatelami polskimi, a dopiero na końcu osobami narodowości polskiej, żydowskiej, ukraińskiej czy romskiej. Nie podoba mi się dzielenie ofiar pod względem narodowościowym. Mam bowiem wrażenie, że w ten sposób usiłuje się dzisiaj w jakiś sposób zdyskontować to, że zginęło więcej Żydów niż Polaków czy Romów. Problem polega jednak na czymś innym. Na liczbie 4 milionów, o której mnie uczono. Otóż pewnego razu przeczytałem, że w Auschwitz zamordowano ponad milion osób. Na początku myślałem, że to pomyłka, ale okazało się, że kierownictwo muzeum znajdującego się obecnie na terenie obozu przeprowadziło szczegółowe badania i właśnie ta liczba okazała się prawdziwa. Przecież to podpada pod definicję kłamstwa oświęcimskiego! Gdyby ktoś chciał stosować te przepisy w wyjątkowo rygorystyczny sposób, pierwsze szacunki - sformułowane przez komunistów z przyczyn propagandowych - nigdy nie mogłyby zostać zweryfikowane.

Rozumiem, że uważa pan, iż taki zakaz krępuje swobodę badań naukowych?

Dochodzenie do prawdy (choć często to długotrwały proces) jest jednym z fundamentów cywilizacji zachodniej. Nie może być rozstrzygane przez orzeczenia sądowe, które mają wyręczać prace historyków, czy odgórne przepisy, które są ustalane przez większość parlamentarną na ogół umotywowaną politycznie.

Nauka cały czas się rozwija, a normy prawne są kostyczne.

Weźmy taką drażliwą sprawę jak Jedwabne. Niewątpliwie pan Gross dopuścił się wielu mimowolnych (a może nawet zamierzonych) nieścisłości. Gdy przeczytałem, że w stodole spalono 1,6 tys. osób, od razu pomyślałem, że nie mogło być stodoły, która pomieściłaby tyle osób. I która "prawda" ma być chroniona prawnie? Czy do więzienia powinien iść ten, kto mówi, że w tej stodole nie mogło zginąć 1,6 tys. osób (jako kłamca oświęcimski). A może ten, kto twierdzi coś odwrotnego (jako człowiek, który "pomawia naród polski"). Wprowadzając takie przepisy, przenosimy spory historyczne na forum sądowe.

Czy nie obawia się pan, że europejska norma w sprawie "kłamstwa oświęcimskiego" będzie tylko początkiem? Że w ślad za nią pójda kolejne dyrektywy w sprawie tego, co wolno, a czego nie wolno mówić i pisać. Na przykład zakaz negowania prawa homoseksualistów do zawierania małżeństw, czy zakaz negowania prawa kobiety do usunięcia ciąży?

Nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia z pewnym procesem. Niewykluczone, że pojawiają się kolejne, niepodlegające żadnej dyskusji "prawdy". Być może nastąpi próba narzucenia nam wartości określanych potocznie mianem politycznej poprawności. Już to, że nie możemy czegoś powiedzieć ze względu na środowiskową czy społeczną presję, jest wystarczająco niepokojące. A co dopiero, gdy te nieformalne zakazy zostaną ujęte w normy prawne. Już mówiłem, że podobne zakazy są najczęściej uchwalane przez parlamentarzystów, a oni

kierują się motywacją polityczną. Ktoś, kto uznał, że prawdę można odgórnie zadekretować - nawet jeżeli przyświecał mu szlachetny cel - otworzył puszkę Pandory.

Sporo krytyki wywołuje selektywność w podchodzeniu do zbrodni, których negowanie miałyby być zakazane. O ile co do "dokonań" narodowych socjalistów panuje zgoda, na ludobójstwo komunistyczne spuszcza się zasłonę milczenia.

Co gorsza dzieje się tak, mimo że zbrodnie komunizmu ilościowo znacznie przeważały zbrodnie nazizmu. Mimo że dochodziło do nich znacznie dłużej i mimo że państwa komunistyczne nadal istnieją. Nierówne traktowanie obu tych totalitaryzmów widać na każdym kroku. Nikt nie postawiłby sobie popiersia Hitlera, a figurki przedstawiające Stalina czy Lenina traktuje się jako rodzaj gadżetów.

Może to kwestia tamtejszych tradycji?

Intelektualiści z Europy Zachodniej byli wyjątkowo silnie zaangażowani w popieranie komunizmu. Komunizm jest zaś ideologią wyjątkowo fałszywą i kłamliwą. W imię szczytnych haseł dopuszczał się najpotworniejszych zbrodni, czyli robi coś odwrotnego od tego, co głosi. W przeciwieństwie do komunistów naziści jasno deklarowali swoje cele. Komuniści i ich spadkobiercy zarówno w Polsce, jak i w Rosji mają zresztą tą cechę do dzisiaj. W ogóle nie są skrupowani kwestią kłamstwa i prawdy.

I Zachód dał się nabrać?

Na tym właśnie polega różnica między Wschodem a Zachodem. Przedstawiciele Zachodu byli zawsze wyjątkowo łatwo wprowadzani w błąd przez przedstawicieli Wschodu. Byli jak dzieci. Uchwalali jakieś traktaty, podpisywali zobowiązania i wyciągali z nich daleko idące wnioski. Tymczasem już w chwili podpisywania dokumenty te nic nie znaczyły.

Janusz Kochanowski